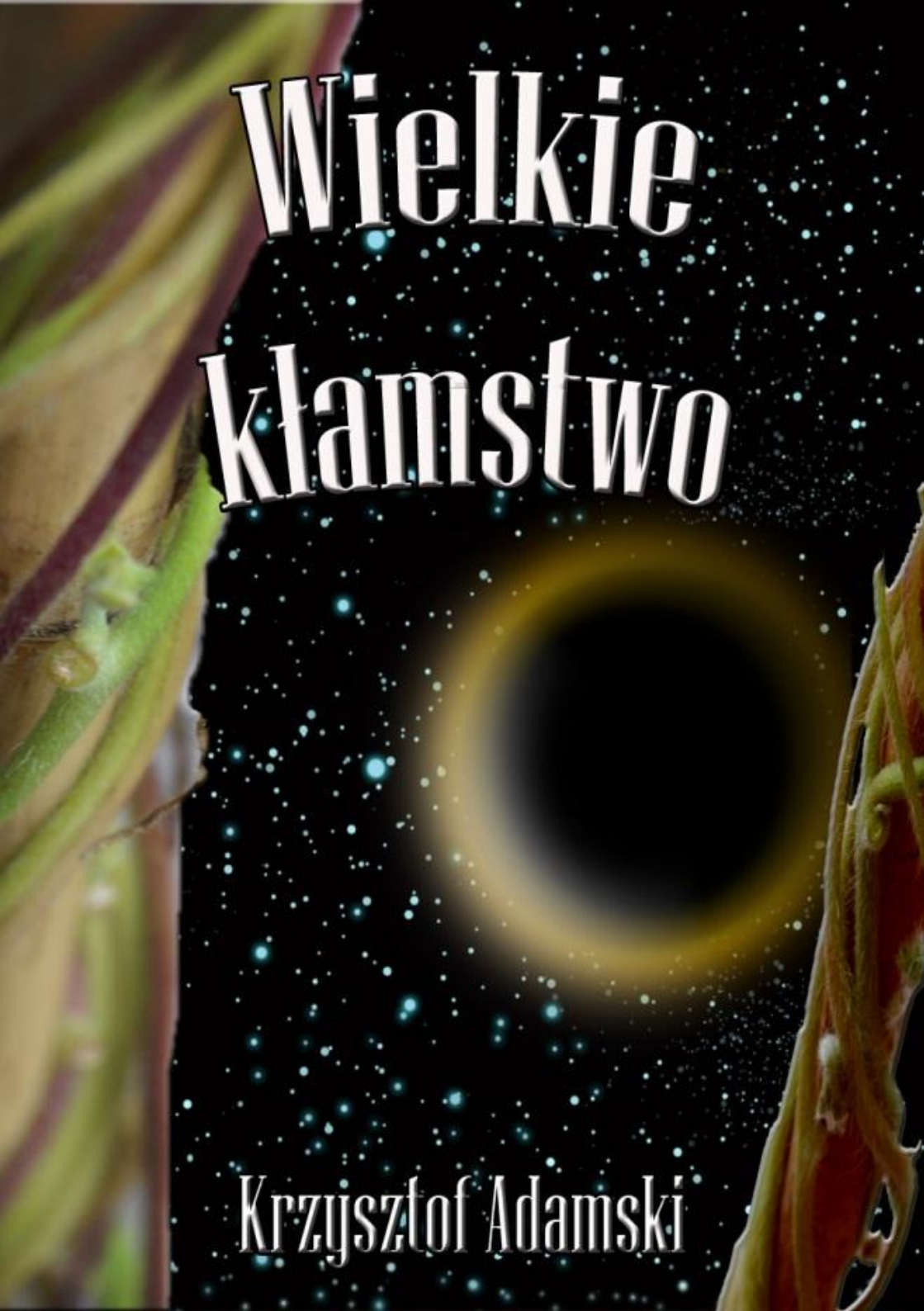




Wielkie kłamstwo

Krzysztof Adamski

Wielkie kłamstwo

WIELKIE KŁAMSTWO

Krzysztof Adamski, Swarzędz 2014

I

1.

- No dalej! Tylko na tyle cię stać, maluchu?! – Tym razem uderzenie kija pozbawione było już jakichkolwiek znamion przyjacielskiej przepychanki. Kirr’eu serią szybkich uderzeń zmusił przeciwnika do cofnięcia się o kilka kroków. Zdecydowanie mniejszy i słabszy, zepchnięty do defensywy Haru nie planował jednak tak łatwo oddać pola. Zbyt pewny siebie Kirr’eu nie zauważył, jak jego wycofujący się oponent wciąga go na oblodzony brzeg rzeki. Woda z roztopianego wiosennym ciepłem śniegu, utworzyła w tym miejscu prawdziwą pułapkę na niezbyt rozważnie stąpających wędrowców. Górujący nad przeciwnikiem Kirr’eu o podstępnie zorientował się dopiero, kiedy było już za późno. Haru uskoczył przed ostatnim ciosem i wykorzystując pęd przeciwnika oraz jego kij jako dźwignię, pchnął go w dół śliskiego zbocza. Stopy Kirr’eu nie zdążyły odnaleźć jakiegokolwiek oparcia i młody Ner runął w lodowatą toń rwącej rzeki.

Haru stanął w bezpiecznej odległości od brzegu i z wyrazem tryumfu na twarzy obserwował, jak Kirr’eu oddala się, rozpaczliwe mieląc wodę rękoma. Im niedawny przeciwnik był dalej, tym uśmiech Haru bledł coraz bardziej, by ostatecznie zmienić się w wyraz przerażenia.

- Haru, on utonie! – Głos siostry, śledzącej dotąd starcie w milczeniu, ostatecznie przywołał Haru do rzeczywistości. – Zrób coś!

- Biegnij szybko po ojca, Dira! Nurt zwalnia przy następnym zakolu, tam spróbuję go dogonić! Pospiesz się!

Dira skinęła tylko głową i błyskawicznie zniknęła pomiędzy drzewami. Nie chcąc tracić więcej czasu, Haru przypadł do ziemi, by korzystając z szybkości dawanej przez cztery łapy, puścić się pędem wzdłuż brzegu rzeki.

*

Wiosenne roztopy zawsze wielokrotnie wzmacniały i tak już bystry nurt miejscowych rzek. Również tego roku, woda spływająca z okolicznych gór sprawiła, że niesionemu przez rzekę Kirr'eu, wciąż nie udało się wydostać z jej lodowatych odmętów. Zmęczony przeciągającą się walką z bezlitosnym żywiołem, młody Ner powoli zaczynał ją przegrywać, coraz częściej boleśnie uderzając o zatopione skały i wystające z wody pnie drzew. Na domiar złego, lodowata o tej porze roku woda w błyskawicznym tempie wysysała siły nawet z jego niezwykle wytrzymałego organizmu.

Zbyt wycieńczony by dalej walczyć, Kirr'eu skorzystał z spokojniejszego chwilowo nurtu i pozwolił wodom rzeki unieść się w stronę otwierającego się przed nim, szerokiego zakola.

- Trzymaj! – Ner w ostatniej chwili zauważył drobną sylwetkę przyjaciela, który kilkoma susami dotarł na jeden z mijanych po drodze wielkich głazów. – No dalej...

Kirr'eu chwycił koniec wyciągniętej w jego stronę gałęzi i ostatkiem sił podciągnął się na niej do góry. Mokry, przemarznięty i wykończony, Ner pozwolił, by jego mniejszy przyjaciel pomógł mu dotrzeć na bezpieczny, suchy ląd.

- Ojciec mnie zabije... - Haru pozwolił towarzyszowi paść na ziemię, samemu z trudem łapiąc oddech po niedawnym biegu.

- Już prawie cię miałem...

- Chyba żartujesz?! Możemy to zaraz dokończyć, tu i teraz! Chodź!

Haru odwrócił się w stronę szybko odzyskującego wigor przyjaciela i zastygł, oczekując na jego kolejny atak.

- Zaraz ci pokażę... Czekaj, Haru... Za tobą!

- Nie żartuj. - Haru był sprytny i to zawsze sprytem wygrywał wszystkie przepychanki z silniejszym od niego przyjacielem. Właśnie dlatego nie zamierzał dać się nabrać na tak grubo ciosany podstęp Kirr'eu.

- Haru! Nie żartuję! – Młody Ner zerwał się na nogi i utkwivszy przerażony wzrok gdzieś ponad głową przyjaciela, ostrożnie sięgnął po leżącą u jego stóp gałąź. Haru przez chwilę jeszcze myślał, że to tylko dalszy ciąg zabawy, jednak dobiegające zza pleców, niskie warknięcie ostatecznie wyprowadziło go z błędu. Powoli, nie chcąc prowokować drapieżnika do ataku, Haru odwrócił się w stronę nowego niebezpieczeństwa. Kilkanaście kroków dalej, na szczycie olbrzymiego głazu siedział wielki samiec fen'eri. Biała skóra ciasno opinała wychudzone zimowym głodem ciało drapieżnika, ukazując grube węzły spiętych do skoku mięśni. Bestia wciągnęła powietrze nosem i wlepiwszy wzrok w stojącą przed nią zdobycz obnażyła rząd ostrych jak brzytwa kłów.

- Haru... Jeszcze dwa za nami, a jeden zachodzi nas od wschodu... - Kirr'eu również posmakował otaczające go zapachy i podzielił się niepokojącą informacją ze stojącym obok towarzyszem. – Ja biorę te z tyłu, ty spróbuj zniechęcić tego przed nami...

Obaj młodzi Bohemianie stanęli do siebie plecami, każdy szykując się na starcie z wygłodniałymi drapieżnika-

mi. Kirr'eu zatoczył szeroki łuk trzymaną oburącz gałęzią, podczas gdy Haru wysunął pazury schowane dotychczas w poduszkach palców dłoni. Zarówno stojący naprzeciw fen'eri, jak również drugie zwierzę, które dołączyło do niego z lewej, wydawały się zupełnie nie być pod wrażeniem tej podziwu godnej odwagi. Pierwszy drapieżnik jeszcze raz cicho warknął, po czym jednym susem skoczył z głazu wprost na stojące u jego podnóża ofiary.

Wyglodniałemu fen'eri tego dnia nie było jednak pisane napełnienie żołądka. Jego ciało runęło na ziemię przy akompaniamencie ogłuszającego huku wystrzału. Ranione w bok zwierzę próbowało jeszcze poderwać się na nogi, ale kolejny pocisk, tym razem wymierzony w łeb, trafił idealnie i zakończył jego żywot.

- Haru, łap! – Mato, ojciec Haru, w biegu rzucił mu pistolet, jednocześnie stając pomiędzy nim i Kirr'eu, a dwoma skradającymi się od tyłu drapieżnikami.

Haru zwinnie przechwycił broń i bez zastanowienia pociągnął serią w stronę drugiego fen'eri. Ten słysząc huk wystrzałów oraz widząc, co spotkało przywódcę watahy, uskoczył za głaz i po chwili zniknął pomiędzy drzewami. Podobnie miała się również sprawa z dwójką zwierząt z tyłu, które poganiane wystrzałami z karabinu Mato, uciekły, pozostawiając swoją niedoszłą zdobycz nietkniętą.

- Tato... - Ulga, którą Haru poczuł na widok przybyłego na ratunek ojca, powoli zaczęła przechodzić we wstyd. Widok zaciętej twarzy Mato, który bez słowa odebrał mu pistolet i, przeładowawszy karabin, ruszył w kierunku osady, oznaczać mógł jedynie kłopoty. Haru doskonale znał swojego ojca i wiedział, że pod maską opanowania, kipiał on wręcz gniewem. Nerwowo zamiatający ziemię, tak charakte-

rystyczny czarny ogon Mato, wyraźnie świadczył o wewnętrznym wzburzeniu rodzica. Póki co, Mato był jednak zbyt skupiony na doprowadzeniu nierozważnej młodzieży bezpiecznie do domu, dlatego na razie oszczędził im połajane. Istniała realna szansa, że to tego czasu jego gniew ostygnie. Lub też rozpali się do białości...

- Dzięki za pomoc. - Kirr'eu zrównał się z idącym za ojcem przyjacielem, który ze spuszczoną głową już obmyślał sposób na wywinięcie się od kary.

- Dopiero teraz mamy przechlapane. – Szept młodych Bohemian przeszedł w stłumiony chichot, który ucichł na widok energicznego strzepnięcia ogona idącego przed nimi Mato.

*

- Bardzo się wściekł? – Dira spojrzała na wychodzącego przed jaskinię brata i po samym wyrazie jego twarzy domyśliła się przebiegu rozmowy z ojcem.

- Nawet nie pytaj...

- Aż tak źle? To chyba nie chodzi tylko o ciebie, podobno coś dziwnego dzieje się w południu. Tamtejsze osady prosiły go o pomoc, wczoraj przybyła Genh'grr, rozmawiali o czymś całą noc.

- Kirr'eu mówił, że Starsi Bracia coś wyczuwają. Właśnie, ciekawe jak jemu poszło. Ojciec mówił, że kara spotka nas troje.

- Troje? – Zaskoczona Dira cofnęła się o krok.

- Ciebie również. Powiedział, że chociaż ty powinnaś była wykazać więcej zdrowego rozsądku i nas powstrzymać

nim wpadliśmy w kłopoty. Siedzimy w tym razem, siostrzyczko!

Haru posłał siostrze łobuzerski uśmiech i ruszył w dół zbocza. Od strony leżącej w dole osady, w ich kierunku szedł wyraźnie czymś stropiony Kirr'eu. Im Ner był bliżej usianego wlotami jaskiń zbocza góry, tym wyraz jego twarzy stawał się coraz bardziej ponury. Będąc już tylko kilka kroków od dwójki przyjaciół, zatrzymał się i z rezygnacją podniósł dłoń w geście pozdrowienia.

- Coś taki poważny? – Haru wciąż nie przestawał się uśmiechać i żartobliwie powtórzył powitalny gest przyjaciela. – Nie rób już takiej miny, przecież udało nam się wywinąć od kary...

Dopiero, kiedy Dira dyskretnie szarpnęła brata za rękaw, ten zrozumiał, że pozdrowienie i mina Kirr'eu nie były adresowane do niego, tylko do kogoś stojącego aktualnie za jego plecami. Uśmiech Haru zrzędł błyskawicznie, na widok surowej miny stojącego o kilka kroków z nim ojca.

- Jesteś, Kirr'eu, dobrze... - Mato pokręcił lekko głową i utkwiał surowe spojrzenie w twarzach stojącej przed nim młodzieży. – Wszyscy troje zachowaliście się dzisiaj bardzo głupio i lekkomyślnie. Po Starszym Bracie oraz po moich własnych dzieciach spodziewałem się czegoś więcej. Zachowując się jak dzieci, zawiedliście moje zaufanie, tak więc znowu będziecie traktowani jak one. Od teraz, nie możecie opuszczać osady samodzielnie, a ja upewnię się już, że nikt z dorosłych wam w tym nie pomoże. Tak będzie dopóki nie udowodnicie mi, że jesteście odpowiedzialni...

- Ojczy... To moja wina, ja...

- Ja go sprowokowałem, Mato. Masz rację, nie powinienem był...

- Próbowałem ich powstrzymać, ale oni mnie nie słuchali! – Jeden przez drugiego, młodzi Bohemianie wzniesli chóralny lament, próbując każdy po swojemu wywinąć się od kary. Mato słyszał to już tyle razy, że zdążył się na tego typu zagrania zupełnie uodpornić. Stał tylko nieporuszony, z założonymi na piersi ramionami przeglądając się swojemu synowi. Ten zamilkł, kiedy zrozumiał, czego oczekuje po nim ojciec.

- Ukarz tylko mnie ojcie. Dira rzeczywiście chciała nas powstrzymać, a wszystko byłoby dobrze, gdybym nie wrzucił Kirr'eu do rzeki.

- Dobrze, widzę, że wreszcie zaczynasz brać odpowiedzialność za swoje czyny. – Ściągnięta gniewnie twarz Mato ledwo zauważalnie się wygładziła. Waszej dwójce tym razem się udało, a ty... Jutro przed świtą ruszasz z nami.

- Dokąd? – Haru z trudem stłumił radość z obietnicy ekscytującej wyprawy w towarzystwie ojca.

- Na Uroczysko, najwyższy czas, żebyś poznał Starca.

W zapadłej nagle ciszy dał się słyszeć głośny dźwięk przełykanej przez Haru śliny.

*

- Nie marudź już, ja ci zazdroszczę. - Kirr'eu cisnął kolejny kamień do wody. Oboje z Haru siedzieli na wysuniętym w głąb jeziora pomoście i oczekiwali na nadchodzący powoli zmrok. Spomiędzy zabudowań przylegającej do jeziora osady dobiegały odgłosy i zapachy przygotowywanego już wieczornego posiłku – Wiesz co o nim mówią...

- Że jest szalony i niebezpieczny? Czy, że jest opętany przez demony..?

-To też. Że wszystko wie. Może on będzie w stanie wyjaśnić to... - Kirr'eu głęboko wciągnął powietrze nosem i wyraźnie się wzdrygnął. – Nie czujesz tego jeszcze?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Niepokój przed nadchodzącą nocą. Lęk przed opuszczeniem osady... Strach. To pewnie dlatego twój ojciec tak się wściekł. Albo on też to czuje, albo przejął się słowami Genh'grr.

- Ja się nie boję. Ani Starca, ani Uroczyśka! – Mimo najszczerzych chęci, słowa Haru nie wypadły zbyt przekonująco. – Zresztą, to wszystko, co o nim mówią, to przecież zwykłe bajki, którymi matki straszą dzieci!

- Tak sobie to tłumacz... – Kolejny otoczek zmącił spokojną taflę jeziora. – Raczej cię to nie pocieszy, ale podobno źródło Grozy bije właśnie z okolicy Uroczyśka. W ten czy w inny sposób, odkryjecie, co się dzieje. Zazdroszczę wam, chociaż sam się boję.

Haru ponownie spojrział w czarne oczy przyjaciela jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Na co dzień silny i pewny siebie, młody Ner wydał mu się rzeczywiście nieco przestraszony i zagubiony. Obaj towarzysze zamilkli, wpatrując się w rozchodzące się po wodzie kręgi. Siedzieli tak jeszcze przez jakiś czas, dopóki zmrok i zimna bryza ostatecznie nie zmusiły ich do powrotu do domu. Wiejący z południa wiatr przyniósł ze sobą coś jeszcze, coś, co zjeżyło włosy na karku nawet Haru.

*

W otoczeniu doświadczonych myśliwych, Haru ponownie poczuł się jak dziecko. Silniejsza niż zwykle, wy-

prawa na Uroczysko składała się tym razem z kilkunastu Młodszych Braci i Ner'boharr, a prowadzona była przez Mato i dobrze Haru znaną Genh'grr. Oprócz większej liczebności oraz uzbrojenia grupy, od razu rzucało się w oczy wyraźne napięcie malujące się na twarzach jej członków. Jeszcze przed opuszczeniem osady, myśliwi bardzo dokładnie sprawdzili broń i upewnili się, że mają wystarczającą ilość amunicji i środków opatrunkowych. W normalnych okolicznościach, karabiny służyły tylko odstraszenia przypadkowych fen'eri, jednak tego dnia, widać było wyraźnie, że dałece odbiegają one od normalności. Haru zdziwił się jeszcze bardziej, gdy ojciec bez słowa podał mu ten sam pistolet, który dzień wcześniej odstraszył niebezpiecznego drapieżnika.

- Myślisz, że będzie mi potrzebny? – Ze zduszonego łękiem gardła Haru wydobył się zaledwie szept.

- Mam nadzieję, że nie. – Mato skinął synowi głową i, wysforowawszy się na czoło kolumny, zarządził wymarsz z osady.

Kilka osób przezwyciężyło strach i wyszło na zewnątrz domów, by w półmroku przedświtów odprowadzić wzrokiem szybko oddalającą się grupę. Haru dostrzegł kiwającą mu na pożegnanie Dirę oraz stojącego obok niej Kirr'eu. Wymienił porozumiewawcze spojrzenie z przyjacielem i ruszył biegiem, by po chwili zrównać się z zamykającym pochód myśliwym.

Grupa w szybkim tempie opuściła okolicę gherr i zagłębiła się w zamieszkaną tylko przez zwierzęta tajgę. Próbując zapomnieć o coraz bardziej duszącym strachu, w marszu Haru myślał o legendarnym Starcu.

Chociaż w każdej osadzie zamieszkiwało kilku ludzi, człowiek ten od nich stronił i na swój dom wybrał głębokie jaskinie na południu Bohemii. Otoczone gęstym, poskręcanym dziwacznie lasem i ścianą gór, miejsce to ochrzczono Uroczykiem. Nazwę tę zawdzięczało ono przede wszystkim swojemu niezwykłemu gospodarzowi, ale również dużemu zagęszczeniu żyjących tam drapieżników. Domu Starca strzegły liczne watahy fen'eri oraz kilka rodzin wyjątkowo dużych gangreli. Już sama ich obecność skutecznie zniechęcała mieszkańców planety do wałęsania się po Uroczyku. Starzec nie był jednak typowym odludkiem. Posiadał coś, czym chętnie i regularnie dzielił się z mieszkańcami planety – wiedzę. Raz na kwartał, z każdej osady przybywały delegacje, którym przekazywał swoje nauki. Wtedy też Uroczyko stawało się względnie bezpieczne – na tyle by umożliwić dotarcie do siedziby Starca. Jakby ściskającego serce lęku było mało, Haru doskonale wiedział, że to jeszcze nie nadszedł ten właśnie czas. Nieważne jak zdeterminowana, liczna i dobrze uzbrojona, jeżeli Starzec nie zażyczy sobie towarzystwa, ich wyprawa narażona będzie na duże niebezpieczeństwo.

Haru nawet nie zauważył, jak znalazł się w środku prowadzonej przez ojca grupy. Młody Bohemianin miał nadzieję, że trzymający go w uścisku strach nie udziela się otaczającym go myśliwym, jednak jeden rzut oka na idącego obok Uhe'orr pozbawił go złudzeń. Najsilniejszy myśliwy w osadzie, niespokojnie wodził wzrokiem dookoła, kurczowo ściskając w dłoniach drzewce swojej włóczni. Uhe'orr czegoś wyraźnie się obawiał, co w przypadku Starszych Braci było prawdziwą rzadkością. Pozostali myśliwi oraz idący na przedzie Mato również wyglądali na co najmniej zaniepokoi-

jonych. Otaczający las wydawał się bardziej posępny niż zwykle, a przemykające między drzewami zwierzęta – jednoznacznie wrogie. Im bardziej posuwali się na południe, tym marsz stawał się coraz trudniejszy. Ostatecznie, kiedy grupa dotarła do pierwszych skał oznaczających zewnętrzną granicę Uroczyska, Mato zarządził nocleg.

- Jak się czujesz? – Skulony przy ognisku i otoczony przez grzejących się przy nim myśliwych, Haru nawet nie zauważył pojawienia się ojca.

- Boję się. – Wśród przesiąkniętych strachem myśliwych, zgrywanie chojraka nie miało najmniejszego sensu.

- Wszyscy się boimy. – Mato usiadł obok ognia, korzystając z miejsca ustąpionego przez jednego ze Starszych Braci. – Strach nie jest zły. Najgorszy jest strach przed strachem. Dopiero, kiedy w pełni uświadomisz sobie własne słabości i je oswoisz, staniesz się prawdziwym mężczyzną. Rozumiesz?

- Nie...

- Nie szkodzi, masz jeszcze dużo czasu. Będziesz spać?

- Nie wiem czy dam radę... - Haru z wdzięcznością przyjął jeden z roznoszonych po obozie koców, jednak mimo oferowanego przez niego ciepła, nie przestał się trząść.

- Nie martw się, tu nic nam nie grozi. Nie pozwolę, żeby stała ci się jakakolwiek krzywda. Prześpij się.

Haru zacisnął powieki i ze wszystkich sił spróbował odzyskać kontrolę nad oddechem. Ani słowa Mato, ani jego pozorny spokój nie pomogły jednak opanować rozdygotanego strachem ciała. Haru zbyt dobrze znał swojego ojca, by nie dostrzec oznak jego własnego niepokoju – czarnego

ogona młóćącego ziemię z każdym wypowiedzianym przez niego zdaniem.

*

Mimo bezpośredniej bliskości owianego ponurą sławą Urocyska, noc minęła spokojnie. Nie oznaczało to jednak, że którykolwiek z wędrowców zdołał choćby zmrużyć oko. W bardziej złowieszczą niż zwykle ciszę nocy, co jakiś czas wdzierało się ponure wycie fen'eri lub ryk gangrela. Choć miejscowe zwierzęta zaledwie kilka razy zbliżyły się do obozu, wspólnie z wiszącą w powietrzu Grozą, skutecznie pozbawiły odpoczywających w nim Bohemian szansy na sen. Myśliwi spędzili całą noc kuląc się przy ogniu i obserwując tańczące wśród drzew cienie. Dopiero szarość świtu rozluźniła nieco napięte do granic możliwości nerwy i dłoń do białości zaciśnięte na chwytach i drzewcach broni.

Nawet światło dnia nie zdołało całkowicie rozprościć dławiącej mocy Grozy. Ledwo Mato i Genh'grr zarządzili w końcu wymarsz, okazało się, że Uhe'orr gdzieś zniknął. Pośpieszne przeszukanie okolicy obozowiska pozwoliło odkryć ślady, jakie pozostawił po sobie biegnący na północ myśliwy. Nikt nie kwapił się jednak by ruszyć tropem towarzysza. Mocno osłabiona utratą swojego najsilniejszego ogniwa, grupa ruszyła dalej.

Haru ponownie zajął miejsce po środku kolumny, rzucając nerwowe spojrzenia na przemian na otaczający go las oraz napięte i zjeżone karki myśliwych. Prawdopodobnie tylko dziecięca ciekawość Urocyska i jego gospodarza, sprawiła, że jakimś cudem zdołał opanować strach i odzyskać jasność myślenia. Pozwoliło mu to poczynić jedno inte-

resujące spostrzeżenie. Po dłuższym z nią obcowaniu, Młodzi Bracia zdawali się znosić Grozę znacznie lepiej niż Ner'boharr. Chociaż silniejsi, bardziej doświadczeni i dobrze znający świat poza Bohemią, każdy krok w głąb Uroczyska Starsi Bracia opłacali wielkim wysiłkiem woli. Po stracie Uhe'orr, proporcje pomiędzy przedstawicielami obu ras wyrównały się, jednak to Młodzi Bracia stanowili teraz o bezpieczeństwie ekspedycji.

Być może to właśnie dlatego, doskonałe zmysły Ner nie zdołały wykryć niebezpieczeństwa, które ostrym warknięciem, w ostatniej chwili oznajmił Mato. Jeszcze zanim olbrzymi, przyczajony za jednym z wielkich głazów gangrel zdecydował się ujawnić, kolumna rozsypała się na boki, mierzając we wskazanym przez przywódcę kierunku.

Powoli, zupełnie nic sobie nie robiąc z wycelowanych w nią karabinów, bestia wyprostowała swoje masywne cielsko i utkwiała spojrzenie maleńkich oczu w zastygłej przed nią grupie. Nawet najwięksi Ner'boharr wydawali się śmiesznie mali w porównaniu z kilkukrotnie od nich wyższym kolosem.

- Nie strzelać! – Mato opuścił ostrożnie karabin i wyszedł przed najeżony lufami i grotami włóczni oddział myśliwych. – Cofnijcie się!

Kategoryczny ton głosu przywódcy błyskawicznie ostudził nerwową reakcję części Ner, których palce błądziły już zbyt blisko spustów broni. Ostrożnie, myśliwi wycofali się o kilka kroków, pozostawiając komicznie małego Mato sam na sam z wielokrotnie górującą nad nim bestią. Ci przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu. Nagle, gangrel rzucił swoim wielkim, pokrytym guzami łbem i rycząc przeraźliwie opadł na przednie nogi. Kolos zastygł po-

chylony nad wciąż nieruchomym Mato i zmrużywszy słabo widzące ślepią, wciągnął powietrze swoimi olbrzymimi, wilgotnymi nozdrzami.

Mato stał nieruchomo, starając się żadnym zbędnym gestem nie dać gangrelowi powodu do ataku. W końcu, po pełniej napięcia, ciągnącej się w nieskończoność chwili, bestia odwróciła się i jak gdyby nigdy nic, zniknęła za pobliską grupą skał.

- Idziemy. Szybko. – Widząc, że chwilowo niebezpieczeństwo zostało zażegnane, marsz podjęła Genh'grr.

Oddział ruszył naprzód, wyprzedzając Mato, wciąż dochodzącego do siebie po konfrontacji z gangrelem. Haru zatrzymał się przy ojcu, który dopiero teraz, będąc już za linią myśliwych, pozwolił emocjom opaść z jego napiętych do granic wytrzymałości barków.

- Tato...

- Wszystko dobrze, Haru. Chodźmy. – Wysapał i pociągnął syna za oddalającą się szybko grupą.

*

Ulokowana w samym sercu Uroczyska, siedziba Starca była równie tajemnicza, co przerażająca. Wokół wejścia do ziejącej w ścianie góry jaskini, leżały poukładane w stosy czaszki i kości. Szczątki wszelkich możliwych zwierząt ułożone zostały w wyraźnie celowy, groteskowy wzór. Haru z przerażeniem rozpoznał kilka szkieletów gangreli, które na oko rozmiarami przewyższały nawet spotkanego niedawno olbrzyma. Cała ta upiorna kompozycja tak bardzo przykuwała uwagę, że całkowicie odwracała ją od oczekującego przed jaskinią gospodarza.

Starzec, bo niewątpliwie była nim zarośnięta postać stojąca u wlotu jaskini, wydawał się w ogóle nie dostrzegać pnących się w górę zbocza wędrowców. Wysoki, ubrany w poszarpane ubranie, mężczyzna stał na skalistej półce i wpatrywał się gdzieś w dal. Dopiero, gdy grupa zatrzymała się koło wielkiego stosu czaszek fen'eri, Starzec zaszczyił ich swoim nieobecnym wzrokiem. Serce Haru na chwilę zmyliło rytm, gdy musnęło go spojrzenie dziwnych, różnokolorowych oczu mężczyzny. Jedno ciemnogranatowe, drugie naturalnie czerwone, wydawały się równocześnie obserwować ten, jaki i inne, obce światy. Wzrok Starca na dłuższą chwilę zatrzymał się na twarzach Mato oraz Genh'grr, którzy z zaskakującym spokojem znieśli jego badawczy ciężar. Mężczyzna w końcu podrapał skórę pod swoją czarną, skołtunioną brodą i mruczając coś pod nosem, ruszył w kierunku wejścia do jaskini.

- Zostańcie tutaj i spróbujcie odpocząć. – Mato rzucił przez ramię, wraz Genh'grr podążając za oddalającym się człowiekiem.

Kiedy sylwetki obojga przywódców wyprawy ostatecznie zniknęły w mroku jaskini, Haru jeszcze przez chwilę wpatrywał się w ziejący czernią otwór. W końcu, dziecięca ciekawość wzięła górę nad strachem i obawą o bezpieczeństwo ojca. Młody Bohemianin oderwał wzrok od wlotu jaskini i przeniósł go na pobliski stos szczyrzących kły czaszek.

- Kirr'eu nigdy mi nie uwierzy...

*

Blade słońce zaczynało już powoli chylić się ku zachodowi, gdy przed jaskinią ponownie pojawili się Genh'grr i Mato. Oboje wyglądali na zmęczonych, ale jednocześnie zadowolonych z wyniku spotkania ze Starcem. Haru chciał zadać ojcu wiele pytań, ale twardy wzrok rodzica błyskawicznie ostudził jego ciekawość. Sam Mato również nie zamierzał dawać swoim towarzyszom dużo czasu na wymianę informacji, gdyż szybko zarządził wymarsz.

Groza powróciła ze zdwojoną mocą, gdy w zapadającym szybko zmroku, oddział ruszył przez Uroczyisko. Forsowny, przerażający marsz, który z zaledwie kilkoma krótkimi postojami trwał do kolejnego wieczora, na zawsze zapadł w pamięci Haru. Młody Bohemianin nie pytał ojca o przyczynę jego niezwyklego pośpiechu, a gdy wreszcie wędrowcy dotarli do pierwszych zabudowań gherr, z ulgi zupełnie o tym zapomniał. Mimo Grozy wciąż trzymającej Bohemian w swoich stalowych kleszczach, dom wydał się ciepły, bezpieczny i pełen przyjaciół.

2.

Przez lunetę swojego karabinu, Cole mógł dokładnie przyjrzeć się przemykającemu skrajem lasu drapieżnikowi. Białe, potężnie zbudowane zwierzę przypominało skrzyżowanie przerośniętego wilka z dzikim kotem. Wielkie, sterujące z nisko trzymanego pyska, kły nie pozostawiały cienia wątpliwości, co do jego mięsożernej natury, czaszkę swojego właściciela czyniąc zarazem idealnym trofeum. Cole stłumił podniecenie i wyrównawszy oddech ostrożnie pokonał opór spustu. Kolba karabinu boleśnie kopnęła go w bark, jednak efekt strzału zdecydowanie rekompensował tę drobną

niedogodność. Ciężka myśliwska kula weszła w cel idealnie, przetrącając kręgosłup zwierzęcia i uśmiercając je na miejscu.

- Ładny strzał. Długo tam będziesz się tak jeszcze zabawiał? – Szczęk komunikatora przerwał myśliwemu chwilę samo zachwyty.

- Nie denerwuj się, Iggi, mamy jeszcze dużo czasu. Zabawmy się trochę. – Cole uspakajająco poklepał kadłub stojącego pod lasem statku, pełniącego chwilowo rolę idealnego punktu widokowego i ponownie przykleił okular maski gazowej do lunety karabinu.

- Jaki masz stan pochłaniaczy? Może lepiej żebyś je wymienił, zanim natykasz się za dużo tego szajsu?

- Igor... - Kolejny strzał tym razem spudłował, jedynie płosząc jakieś kręcące się w krzakach zwierzę. - Pochłaniacze są OK, jak chcesz tam siedzieć, to siedź. Ja nie zamierzam kisić się w tej puszczy razem z tobą, wachając twoje przepocone skarpety. Wyłaż, chyba, że boisz się tych żałosnych jaskiniowców. O nich się lepiej nie martw, nawdychali się tego już tyle, że zrobiliby pewnie w gacie na sam nasz widok... O, chodź do tatusia...

Tym razem kula zeszła nieco z kursu, roztrzaskując czaszkę białoskórego drapieżnika. Widząc tak kompletnie zrujnowane trofeum, Cole posłał wiązkę siarczystych przekleństw pod adresem zagadującego go, czekającego w kabinie „Satrapy” drugiego pilota. Kiedy mężczyzna wreszcie odzyskał spokój, wywołał kontrolki wbudowanej w hełm maski przeciwgazowej i dla pewności, jeszcze raz sprawdził wskazania stanu pochłaniaczy. Zieleń wskaźnika wyraźnie już zbladła i powoli zaczynała przechodzić w żółć. Oznaczało to najwyżej kilkanaście minut, zanim maska przestanie

chronić przed rozpylanymi w atmosferze planety chemikaliami. Mężczyzna już zamierzał dołączyć do zrzędzącego bez przerwy współnika, gdy kątem oka dostrzegł dziwny ruch w głębi lasu. Chwilę później, systemy audio hełmu przechwyciły wyraźny dźwięk walących się drzew oraz dudnienie ciężkich kroków.

- Iggi... Igor!

- Co? Znudziło ci się już?

- Zamknij się! Idzie tu chyba jeden z tych olbrzymów. Na wszelki wypadek miej przygotowane do strzału coś cięższego.

- Przeginasz... Dobra, grzeję przedni laser.

Teraz, przyczajony na dachu „Satrapy”, myśliwy wyraźnie widział już walące się korony drzew, znaczące trasę przemarszu wielkiego stworzenia. Wszystko wskazywało na to, że zmierzało ono w stronę polany, na której Cole postanowił urządzić swoje małe safari. Mężczyzna uśmiechnął się pod maską, czując, że jego cierpliwość w końcu została nagrodzona. Jednak ani Cole, ani drugi pilot „Satrapy” nie byli przygotowani na ujście tego, co po chwili wychynęło spod masy drzew.

Wśród obalanych pni wielkich drzew, na otwartą przestrzeń wytoczył się potwór zrodzony w najbardziej pokręconych, chorych koszmarach. Olbrzymie, humanoidalne ciało zbudowane było z niezliczonych szkieletów, wkomponowanych w groteskową parodię człowieka. Monstrualną konstrukcję wieńczyły dwie szczytujące się czaszki – jedna trzymająca się prosto na rozdwojonym kręgosłupie, a druga, mniejsza, zwisająca bezwładnie wzdłuż ciała bestii.

- Iggi... Co z tym laserem? Widzisz to, co ja? – Wpatrując się w plątaninę poskręcanych żeber tworzącą klatkę

piersiową bestii, Cole po raz kolejny sprawdził wskazania stanu pochłaniaczy. Mimo pulsującej ostrzegawczo kontroli, maska nadal działała wystarczająco wydajnie, co oznaczało, że kościany olbrzym nie mógł być wytworem jego wyobraźni.

- Jezu... Stary, wracaj do środka. Działo będzie gotowe z pół minuty! Pospiesz się!

Cole nie zamierzał jednak łatwo zrezygnować z możliwości zmierzenia się z tak niezwykłym, powoli zmierzającym w stronę statku przeciwnikiem. Mężczyzna wyszarpnął z karabinu magazynkę i zastąpił go drugim, zawierającym amunicję przeciwpancerno-eksplodującą. Po sekundzie, przez lunetę broni ponownie spojrzał w czerwony punkcik świecący gdzieś na dnie zięjącego czernią, lewego oczodołu olbrzyma. Pierwszy pocisk wszedł idealnie, wybijając wyraźny otwór wylotowy w potylicy monstrum. Widząc ścianę lasu prześwitującą przez dziurę w czaszce oraz brak jakichkolwiek innych efektów, Cole wpakował w potwora pozostałe pociski. One również nie spowolniły go w najmniejszym stopniu – co najwyżej rozzłościły. Podziurawione kulami monstrum wyraźnie przyspieszyło i już tylko sekundy koślawego truchtu dzieliło je od kadłuba „Satrapy”.

- Iggi, spierdalamy stąd... - Mimo najszczerzej chęci by odwrócić się na pięcie i uciec do wnętrza statku, ciało myśliwego odmówiło posłuszeństwa. Cole zastygł w miejscu, jak zahipnotyzowany wpatrując się w coraz bliższego kościanego potwora.

Kiedy do statku pozostało zaledwie kilka metrów, odezwało się przednie działko „Satrapy”. Zamontowany w podkadłubowej wieżyczce, średniej mocy laser błysnął trzysekundową serią. Chociaż działo przeznaczone było do

zwalczania większych, bardziej odległych celów, część wiązki zdołała zahaczyć o groteskowy korpus olbrzyma. Błękitny promień przeciął kościaną klatkę piersiową na pół, przy okazji wycinając kilka stojących najbliżej drzew. Nie-sione siłą rozpędu monstrum zdołało wykonać jeszcze dwa chwiejne kroki, po czym runęło na ziemię, zmieniając się w bezwładną stertę zwierzęcych czaszek i kości.

- Cholera... W ostatniej chwili! Dzięki, kolego! – Cole odzyskał w końcu panowanie nad własnym ciałem, jednak zamiast zejść górnym włazem „Satrapy”, wybrał drogę na dół, po stopniach wbudowanej w kadłub, zewnętrznej drabinki. – Co to, kurwa, było?!

- Jeszcze ci mało? Wracaj do środka, uruchamiam silniki i spieprzamy stąd!

Ignorując krzyki współnika, Cole podszedł do kłębowiska kości, i wciąż trzymając karabin w pogotowiu, trącił butem jedną z mniejszych czaszek.

- To jest jakieś popierdalone... Dobra wracamy, zanim... - Mężczyzna nie zdążył dokończyć zdania. Kopnięta przez niego czaszka dotoczyła się do większej hałdy kości, która niespodziewanie zaczęła rosnąć. Sparaliżowany strachem mężczyzna mógł tylko patrzeć, jak na jego oczach ponownie formuje się przerażające ciało potwora. Jakby kościany olbrzym nie był wystarczająco przerażający, w tym momencie, z ostrzegawczym bzyczeniem i trzaskiem otwieranych filtrów, systemy hełmu obwieściły ostatecznie wyczerpanie się substancji neutralizującej w pochłaniaczu maski. Myśliwy nawet nie zdążył się zastanowić ile razy odruchowo zaczerpnął mroźnego powietrza Bohemii, od kilku dni nasycanego rozpylanym w jej atmosferze gazem. Jego system nerwowy zwyczajnie nie podołał skoncentrowanej

dawce toksyny, połączonej z przeczącym zdrowemu rozsądkowi widowiskiem rozgrywającym się na jego oczach, i zareagował w jedyny możliwy w takiej sytuacji sposób. Nieprzytomny mężczyzna zwałił się na ziemię, podczas gdy kościany potwór ponownie przybrał swoją ostateczną, przerażającą formę.

- Zostaw go, ty pieprzony sukinsynu! – Słowom stojącego na kadłubie „Satrapy” Igora, zawtórowało głuche stękanie trzymanego przez niego bębenkowego granatnika. Pociśk przeleciał lekkim łukiem i wpadł prosto w lewy oczodół bestii. Oczekiwana eksplozja jednak nie nastąpiła. Igor nie myśląc długo po raz kolejny nacisnął spust, ale to również nie przyniosło oczekiwanego rezultatu. Zdumiony mężczyzna spojrzał na trzymaną w ręku broń i z przerażeniem stwierdził, że niewytłumaczalnym sposobem, scalała się ona w jednolitą bryłę. Podczas gdy Igor rozpaczliwie próbował zrozumieć, co się stało z jego granatnikiem, monstrum wyprostowało się i, mając głowę dokładnie na wysokości wciąż szarpiącego się z bronią człowieka, zastygło w bezruchu.

Igor ostrożnie uniósł wzrok i spojrzał prosto w potworne oblicze olbrzyma. Upuszczony granatnik z ciężkim brzękiem uderzył o kadłub statku, by po chwili, tuż obok niego wylądowało zwiotczałe ciało nieprzytomnego pilota. O dziwo, bestia zdążyła wyciągnąć swoją groteskową parodię dłoni i powstrzymać człowieka przed spadnięciem z dachu statku.

Odłożywszy ciało mężczyzny obok jego nieprzytomnego kompana, gigant ponownie znieruchomiał. Monstrum stało tak bez ruchu przez kilkadziesiąt sekund, po których upływie jego przerażające cielsko zaczęło się stopniowo rozpadać. Czerniejące szybko kości odpadały całymi płata-

mi, by upaść na podłoże niczym olbrzymie strzępy sadzy. Te znikały zresztą równie szybko, rozwiewane mocniejszymi podmuchami wiatru. W końcu, obok stojącego obojętnie statku, wśród resztek unoszonego wiatrem popiołu ukazała się sylwetka wysokiego, brodatego człowieka.

Starzec pochylił się nad nieprzytomnymi mężczyznami i, złapawszy za uchwyty obu kombinezonów, z bez cienia wysiłku podciągnął ich do zamkniętego, bocznego wjazdu „Satrapy”. Strzeżone magnetycznym zamkiem wejście wydawało się być wystarczająco dobrym zabezpieczeniem przed miejscową ludnością i zwierzętami, jednak dla Starca okazało się nie być żadną przeszkodą. Mężczyzna bezceremonialnie upuścił wleczonych za sobą ludzi i delikatnie oparł dłoń na zewnętrznym panelu sterowania statku. Po chwili, z cichym sykiem pneumatyki, pokrywa wjazdu odsłonięła sama. Starzec pokiwał kilkakrotnie głową i ponownie uchwyciwszy kombinezony nieprzytomnych pilotów „Satrapy”, ruszył stopniowo rozświetlającym się przed nim korytarzem. Systemy statku dziwnym trafem wydawały się rozpoznawać go jako pełnoprawnego członka załogi, dając mu tym samym pełen dostęp do jego wewnętrznych sekcji.

Minęło kilka minut, gdy przez nikogo nie niepokożony, idący niespiesznym krokiem Starzec dotarł do sterowni „Satrapy”. Hełmy pilotów ponownie głośno stuknęły o podłogę statku, gdy ciągnący ich mężczyzna ostatecznie stracił nimi zainteresowanie. Pod dotykiem Starca, kabina ożyła, rozbłyskując nagle dziesiątkami kontrolki i świecących różnokolorowo wyświetlaczy. Skóra wspartych na konsoli sterującej dłoni mężczyzny przywarła do jej gładkiej powierzchni, na krótką chwilę scalając go ze stalowym ciałem „Satrapy”.

- Chang... - Zaledwie kilka uderzeń serca wystarczyło, by Starzec dowiedział się wszystkiego, czego potrzebował. Posłuszny jego woli, komputer statku w ciągu zaledwie ułamka sekundy wylał z siebie prawdziwą rzekę danych, równocześnie przyjmując nowe wytyczne i koordynaty lotu. Gdzieś głęboko pod zmierzwioną brodą, usta mężczyzny wykrzywiły się w lekkim uśmiechu, gdy ten, przekroczywszy ciała nieprzytomnych pilotów, opuścił kabinę „Satrapy”. Chwilę później, Starzec ponownie stanął na srebrnym odszronu mchu Bohemii.

Właz „Satrapy” powoli zasunął się za plecami idącego w stronę lasu mężczyzny. Nim Starzec ostatecznie zniknął pomiędzy drzewami, statek z hukiem silników uniósł się ponad polanę i rozpoczął lot w kierunku orbity Bohemii.

*

Kilkadziesiąt minut później „Satrapa” wyrwał się grawitacji planety i ustabilizowawszy parametry lotu, ruszył dalej wyznaczonym przez Starca kursem. Nim statek zdążył opuścić granice systemu, satelity rozmieszczone przez jego załogę na orbicie planety i rozpylające gaz do jej atmosfery, eksplodowały, zgodnie ze swoimi procedurami samozniszczenia. Ani w pamięci pokładowego komputera, ani jego załogi nie pozostał żaden ślad z ich pobytu w Bohemii. Jedynie podświadomość wciąż nieprzytomnych mężczyzn miała na zawsze nosić blizny po wydarzeniach na planecie. Groza, którą starali się sparaliżować Bohemian, by ci nie przeszkadzali w eksploatacji złóż planety, ich samych nazywała najdotkliwiej.



- Chang... - Starzec siedział na rozłożonym pod ścianą jaskini posłaniu i intensywnie nad czymś myśląc, po raz kolejny obrócił to słowo w ustach. – Chang...

Dookoła, zaścieleając prawie całą powierzchnię komory walały się wszelkiego rodzaju rupiecie. Od zniszczonej, wygrzebanej skądś elektroniki, po dziecięce zabawki i wy-preparowane zwierzęce szczątki. Każda ścianę, aż pod wysokie sklepienie pokrywały niezliczone rzędy równych, wypisanych kredą znaków. Jedne układały się w zrozumiałą treść, inne wydawały się być zupełnie pozbawionym sensu, przypadkowym bełkotem. Wśród tego całego chaosu, siedzący na swoim barłogu Starzec niemal całkowicie wtapiał się w kłęb szmat tworzących jego legowisko.

Mężczyzna jeszcze przez chwilę mamrotał coś do siebie, by ostatecznie podjąć trudną decyzję o udaniu się na spoczynek.

Starzec nie lubił snu. Te krótkie chwile, kiedy świadomość odpływała, ustępując miejsca zamieszkującym jego ciało demonom, zawsze napawały go obawą o bezpieczeństwo innych mieszkańców Bohemii. Trzymane na krótkiej smyczy, gdy był przytomny, demony wykorzystywały każdą okazję by wyrwać się na wolność, korzystając z chwilowej nieobecności gospodarza. Dlatego właśnie Starzec ograniczał sen do minimum – tyle tylko by dać odpocząć zmęczonemu ciągłym czuwaniem umysłowi. Również tym razem, mężczyzna nie zamierzał ułatwiać demonom panoszenia się po okolicy jego domu. Donośne sapnięcie gangrela, sadowiącego się przed wejściem do zamieszkanego przez Starca

kompleksu jaskiń oraz niesione wiatrem wycie fen'eri, oznajmiły przybycie strażników Uroczyska.

- Chang... - Mężczyzna skulił się na posłaniu i wreszcie zamknął znużone oczy.

- Chang...- Ledwo oddech Starca ucichł, jego lewa powieka rozwarła się szeroko, ukazując gorejącą czerwienią źrenicę. – Tak...

*

- Czujesz to? Znika! - Kirr'eu wciągnął głęboko powietrze i pierwszy raz od wielu dni odetchnął bez strachu.

- Może i tak, ale powinniśmy już chyba iść do domów.... Ściemnia się już!

- Spokojnie, Dira! Nie rozumiesz? Udało się, starzec powstrzymał Grozę! Jesteśmy bezpieczni, wszystko będzie tak jak dawniej. – Twarz Haru rozciągnęła się w szerokim uśmiechu na widok idącego w stronę pomostu Mato. - Powiedz jej, ojcie!

- Na to wygląda. Widzę, że już nie boicie się siedzieć nad jeziorem o zmroku. To dobry znak. Chyba rzeczywiście się mu udało.

- Mato, czy Starzec rzeczywiście jest taki potężny jak mówią?

- Nie wiem, Kirr'eu. Jest taki, jaki jest. Haru, widziałeś go, a jak jeszcze trochę podrośniesz, będziesz widywał go znacznie częściej – powiedz im jaki jest. Powiedz, co widziałeś.

Ojciec, siostra i najlepszy przyjaciel wlepili w Haru pytające, wyczekujące spojrzenia. Młody Bohemianin przez

chwilę zbierał myśli, jednak ostatecznie, słowa same wypływały na wspomnienie dziwnych oczu Starca.

- Jest smutny... - Płaski, rzucony przez Haru kamień odbił się kilkukrotnie od gładkiej tafli jeziora, by zniknąć w jego atramentowej toni. – Smutny i samotny.

3.

Maxim oderwał wzrok od baterii ekranów zdobiących ścianę jego gabinetu i przetarł zmęczone oczy dłonią. Nawet nie zauważył, kiedy skończyła się kolejna zmiana, co oznaczało, że spędził tu już ciągiem ponad szesnaście godzin. Niestety, jeżeli planował spędzić długo wyczekiwany urlop w sposób, w jaki to sobie zaplanował już wiele miesięcy wcześniej, musiał teraz ostro przysiąc nad robotą. Oczywiście, nie mniej zapracowanej od niego, Kasyi się to nie podobало, co dawała mu zresztą odczuć za każdym razem, gdy Maxim chociaż na chwilę zdołał wyrwać się z pracy do domu. Awantura zawsze kończyła się tym samym – solenną obietnicą, że jeszcze kilka tygodni i będą mogli wreszcie cieszyć się wymarzonym wypoczynkiem.

Pracy było dużo i Maxim nie raz z rozrzewnieniem wspominał czasy, kiedy był zwykłym pilotem nie musiał przejmować się takimi sprawami jak organizacja pracy w Pasie i wrakowisku, czy nadzór nad prawidłowym przebiegiem Żniw. Jedyne, co musiał wtedy robić, to od czasu do czasu, ryzykując przy okazji życie, stawiać czoła Ner'setrra. Pestka.

Początkowo, tuż po wojnie, nie planował przyjęcia oferowanej mu posady, ale Kasya była w tej kwestii szczególnie kategoryczna i użyła wszelkich znanych jej sposo-